

Jacek Sieradzki

W BŁAŻEŃSTWIE DZIEŁ UDANYCH...

Wśród dziesiątek komentarzy, sylwetek i wspomnień poświęconych dwóm kanonizowanym ostatnio papieżom, przypominano gdzieś, mam nadzieję, tę anegdotę o Janie XXIII, jaką swego czasu lubił być opowiadać Tadeusz Mazowiecki. Gdy mianowicie włoski papież trafił się jakimś kościelnym dylematem, przyszedł do niego we śnie Bóg, spojrzął po ojcowsku i napomniął ciepło *Giovanni, Giovanni, nie traktuj siebie tak poważnie*.

Boże, czemu tak rzadko chce Ci się nawiedzać cudze sny? Iluż ludziom całkiem porządnym, tak tylko trochę z przesadą zapatrzonym w siebie, przyniosłoby to ratunek?

Czytam programowe wystąpienia Grzegorza Jarzyny przed premierą *Drugiej kobiety*, adaptacji scenariusza filmu Johna Cassavetes. *Mam wrażenie* – mówi inscenizator Dorocie Wyżyńskiej – *że doszedłem do punktu na swojej drodze teatralnej, ale też w życiu, w tej ciągłej chęci przekraczania granic, szukania nowych form, tematów, opowiadania o tym, co mnie fascynuje, ale też zajmowania się bolączkami społecznymi – że właśnie teraz jest ten moment, żeby opowiedzieć o nas, tu w teatrze, za kulisami*. A Anecie Kyzioł dopowiada: *Kiedys często oglądałem ten film [Cassavetes] i zawsze robił na mnie wielkie wrażenie, ale też przerażał prawdą o teatrze, o bólu, jaki jest udziałem aktorów, twórców. Na co dzień w tym grzebię: łzy, alkohol, afery, krzyżujące się związki, romanse i rozstania. Ten film to wszystko bardzo boleśnie obnaża. Nigdy nie kalkulowałem, że to jest temat dla mnie, ale po okresie przestoju, tych dziewięciu miesiącach zawieszenia, gdy musiałem sobie zadać pytanie, czy warto walczyć o TR Warszawa, i odpowiedziałem sobie, że tak – uznałem, że muszę właśnie opowiedzieć o teatrze. Uznałem, że nie możemy się już zajmować tematem homoseksualizmu, kazirodztwa, krytykę polskiego społeczeństwa, że teraz przyszedł czas, aby spojrzeć w lustro i opowiedzieć o nas samych*.

Zaraz, zaraz... Kiedy to właściwie szef TR Warszawa zajmował się tematem homoseksualizmu, kazirodztwa? Z katalogu prac reżyserskich wynika, że w spektaklu *Uroczystość* (no bo T.E.O.R.E.M.A.T to bajka o czym innym). Więc lat temu, chwalić Boga, trzynaście! A krytykę polskiego społeczeń-

stwa? Artysta myśli pewnie o *Między nami dobrze jest*, swoim wielkim sukcesie. Aliści ta inscenizacja też liczy już sobie z górą cztery lata. Cykl widowisk rzeczywiście społecznie ostrych, *Teren Warszawa*, był jeszcze dawniej. Dobrze, wiem, po drodze były kłopoty z Warszawą, jako terenem urzędniczej arogancji i obstrukcji, niemożność rozsądnego zorganizowania pracy etc. To jasne. Niemniej opowiadać prasie, jak to jesteśmy znużeni robieniem teatru zaangażowanego społecznie i obyczajowo, więc będziemy teraz dla odmiany zajmować się sobą? *Gregorio, Gregorio, litości!*

Jarzyna ma niezwykłą moc lepienia teatru: efektownego, sugestywnego, wciągającego. Powiedziałyby się: błyszczącego – bez przygany; to nie jest żaden błyszczyk tylko blask dobrej klasy. I tak było zawsze. Od debiutu. Można się kłócić o interpretację – od *Bzika tropikalnego* z uciętym epilogiem i *Iwony, księżniczki Burgunda* jako hymnu na cześć miłości, po *Nosferatu* w Narodowym, wątlą baśń o zmęczonym wampirze; warstwa widowiskowa była zawsze poza dyskusją. I tak jest też w *Drugiej kobiecie*. Zachwyca wirtuozeria, z jaką inscenizator w warunkach przestrzennych TR przypominających, co tu dużo gadać, większy kurnik, tasuje plany, montuje kolejne sekwencje, kreśli obrazy. Rzecz opowiada o aktorce przerażonej zbliżającą się starością, grzęznącej w gwałtownym kryzysie tożsamościowym. Młoda fanka, która na jej oczach, przed teatrem, zginęła w wypadku, staje się obsesją, wyrzutem sumienia, ale i jakimś znakiem transcendencji, innego wymiaru, szansy na rozerwanie obroży lęku. Aktorka szuka kontaktu z dziewczyną przez towarzystwo spirytystyczne, potem kontakt materializuje się w jakiejś, może alkoholowej wizji. Zarówno liryczna, odrealniona scena seansu, jak i dramatyczna konfrontacja Wiktorii w wykonaniu wielkiej i przejmującej Danuty Stenki z anorektyczną prowokatką Justyny Wasilewskiej to naprawdę świetny teatr.

Tym gorzej – przez kontrast – wypada reszta widowiska. Ta, w której reżyser chciał *spojrzeć w lustro i opowiedzieć o nas samych*.

Cóż to za niekontrolowana erupcja banału! Motyw prób, teatru w teatrze zawsze był scenicznym samograjem – pod warunkiem, że wpisywano w

mocne, wyraziste charaktery. Że napięcia, nerwy, emocje rodzące się na próbach odsłaniały skomplikowane wnętrza nietuzinkowych ludzi. Co, na miły Bóg, chciał o nas samych opowiedzieć Grzegorz Jarzyna, ustawiając za plecami Danuty Stenki płaskie, ledwie co ożywione stereotypy? Zbudowane z szajsu nadużytego w bajkach o kulisach teatru po stokroć, z przewidywalnych złośliwostek i podgryzań, historycznych awantur i małostkowych szpil, ambicioalnych szarż i spojrzeń spoje łba? Żal było patrzeć na superlojalnego Adama Woronowicza, jak wychodzi ze skóry, by ukryć coś, czego ukryć się nie dało: że nie ma czego grać, żadnego materiału na rolę, żadnego stelaża, na którym bycie sceniczne dałoby się powiesić. Gonił go w tym upokarzającym trudzie Roman Gancarczyk, nie wiedzieć po co pożyczony ze Starego Teatru do upiornie schematycznej roli reżysera. Tudzież reszta zacnego zespołu TR Warszawa.

Cholera, może właśnie to jest kwintesencją aktorskiego bólu? Wcale nie *łzy, alkohol, afery, krzyżujące się związki, romanse i rozstania*, o których mówił Grzegorz Jarzyna, tylko sytuacja, w której trzeba sterczeć na scenie i własnym pyskiem z a s t a n i a ć pustkę pozornej obecności? Pustkę, której przy najlepszej woli zasłonić niepodobna?

Zdarza się to w dzisiejszym teatrze niepokojąco często. Widowiska stały się emanacją dyktatorskiej woli reżysera, jeszcze może gwiazda w głównej roli przebiję się ze swoimi potrzebami – natomiast gremialnie zapomina się o zapewnieniu, by każdy wykonawca, od góry do dołu afisza, mógł znaleźć satysfakcję w robocie. I by precyzyjnie wprząć go w maszynkę całości. Kłopoty w tej kwestii trafiają się w całym spectrum życia scenicznego. Począwszy od konserwatywnego Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie w *Learze* wszystkie reflektory idą (zrozumiałe) na Andrzeja Seweryna, natomiast komparseria sprawia wrażenie interpretacyjnie nie poprowadzonej, a już tak zwane postacie negatywne w szatańskich chichotach, złowieszczych szeptach i hysterii niebezpiecznie zbliżają się ku autoparodii. Skończywszy na cenionej za eksperymenty scenie walbrzyskiej, gdzie na niewydarzonych widowiskach z cyklu *Dekalog* da się widzieć aktorów kulających się pod ścianami z jasnym przesłaniem „mnie tu nie ma, proszę brać moją tu obecność za niebyłą”. Czemu sprzyja monologowa struktura tekstów, jaka generalnie dominuje we współczesnej dramaturgii, ale dalebóg nie ona jest tu głównym winowajcą.

Jak mówił Stary Aktor w *Wyzwoleniu*?

*W błazeństwie dzieł udanych
W komedii wiecznej prób
Ja się rumienię, wstydzę,
Wstyd niosę wasz do lic...*

W rymotwórstwie Wyspiańskiego „udanych” znaczy tu „udawanych”. Ale możemy czytać to inaczej: właśnie i w najzupełniej udanych (obiektywnie), i całkowicie nieudanych dziełach scenicznych aktor miewa niekiedy – nie tak rzadko – głęboko intymne powody do wstydu. Z którym musi się zmierzyć, rozprawić, w imię lojalności wobec teatru. Trzeba mu za te zmagania bić brawo, a czasem też i głęboko, acz po cichu współczuć. To niesamowita cena wysiłku twórczego. Gdyby takiej szarpaniny nie przechodził, byłby tylko nakręcanym manekinem. Jakie też – dodajmy dla porządku – pałają się tu i ówdzie po scenach.

Zdarzyło mi się ostatnio widzieć aktorów z renomowanych, eksportowych zespołów, jak na małych scenkach Warszawy grają w repertuarze stricte bulwarowym, choć nie do końca wyzbytym ambicji. Romę Gąsiorowską w *Diabelskim młynie* Erica Assusa, Magdalenę Popławską i Wojciecha Kalarusa w *Wenus* w *futrze*, czysto komercyjnym kawałku, cokolwiek by się myślało o filmie Polańskiego. Zygmunta Malanowicza w *Dziwce* z *Ohio* Hanocha Levina (najwybitniejsza literatura w tym zestawie), Jacka Poniedziałka w farsach z Och Teatru. No i Adama Woronowicza szalejącego – fenomenalnie! – od kulisy do kulisy w *Depresji komika* na scenie Teatru Polonia w duecie z Rafałem Rutkowskim.

Stoi mi przed oczami wyobraźni nieoczekiwany obrazek: ze światowej sławy teatru, w którym trwa wielogodzinna, niekończąca się próba, pełna waporów starzejących się gwiazd i popisów elokwencji charyzmatycznego, choć z lekka nieznośnego lidera, chyłkiem, tylnymi drzwiami, przyskają aktorzy, żeby gdzieś za rogiem, w wynajętej sali, w prymitywnej dekoracji z przenośnych zastawek, zagrać rolę niegłęboką i niepiszącą się w rejestr ambitnych osiągnięć, ale zręczną, mieniącą się rozmaitymi możliwościami wyrazowymi, dobrze obliczoną na efekt, na zainteresowanie widza i na jego frajdę. Na frajdę wykonawcy także.

Może dałoby się dołożyć powyższą scenkę do *Dругiej kobiety*? Pod reżyserką ręką Grzegorza Jarzyny nabrałaby prawdziwego blasku.

Jacek Sieradzki

DRUGA KOBIETA na podstawie scenariusza Johna Cassavetes. Adaptacja tekstu i scenariusz: Grzegorz Jarzyna i Anna Nykowska, reżyseria: Grzegorz Jarzyna, scenografia: Chasper Bertschinger, kostiumy: Anna Nykowska, muzyka: Jacek Grudzień oraz Piotr Domiński i Dominika Kotarba, reżyseria światła: Felice Ross, wideoprojektacja: Bartek Macias. Premiera w TR Warszawa 24 kwietnia 2014.